NOWOŚCI ILLUSTROWANE

Prenumerata w Polsce: Kwartalnie K 31·20. Półrocznie K 62·40. Rocznie K 124·80. W Austryi: Kwartalnie K 31·20. Półrocznie K 62·40. Rocznie K 124·80.

Zmiana adresu 60 halerzy.

Ceny ogłoszeń: za wiersz petitowy jednoszpaltowy na ostatniej stronie 1 kor., na miejscu specyalnie zastrzeżonem kor. 1·40, za wiersz nonpareilowy jednoszpaltowy 2 kor., za wiersz petitowy w części reklamowej 5 kor.

Wychodzi każdej soboty.

REDAKCYA i ADMINISTRACYA: KRAKÓW XV.
ulica Kazimierza Wielkiego L. 95 (dom własny).
Telefon Nr. 479.

Naczelny redaktor: **Wincenty Korolewicz.**

Wyłączne zastępstwo na Lwów: KAROL BUCHSTAB, Biuro dzienników — Lwów, ul. Legionów 31.

Wyłączne zastępstwo na Warszawę i Królestwo Polskie: **Zygmunt Bereda, Warszawa, Marszałkowska 119. Łódź, Piotrkowska 62.**

Numer pojedynczy 2·50 kor.

Rok XVI. | Kraków. 13. grudnia 1919. | Nr. 50

Polacy w szkole oficerskiej w Saint Cyr.



Gen. Petain podczas przeglądu.



Biblioteka



Polacy w szkole oficerskiej w Saint Cyr: Sypialnia.

Polacy w szkole oficerskiej w Saint Cyr.

Przypominają się te czasy, kiedy po powstaniach rozpoczęła się tłumnie emigracya skompromitowanych politycznie Polaków do Francyi, którzy znachodzili serdeczne przyjęcie. Tu rozwinęła się szeroka praca organizacyjna: z Francyi tworzono Ojczyznę.

Podobnie i teraz. Warunki pracy w czasie wojny stały się niemożliwe, wskutek czego podjęto ją znowu we Francyi. Tam powstała armia Hallera. Francya jak zwykle była serdecznym przyjacielem naszym, na każdym kroku spieszą z radą i pomocą.

Część oficerów z byłych armii zaborczych dostała się do wojskowej szkoły w Saint Cyr. Szkoła ta, która przygotowała do twardej i zrozumiałej służby oficerskiej miała utworzyć fachowo wykształcony polski korpus oficerski. Wyniki osiągnęły swój rezultat.

Nauka szła tu w zrozumiałym i dobrze obmyślanym kierunku; w szkole otrzymywało się wielostronne wykształcenie na rozmaitych zakresach pracy oficerskiej. Począwszy od fachowo wojskowych przedmiotów, a skończywszy na wykształceniu ogólnem i towarzyskiem otrzymywało się dzięki czynnej pracy Francuzów, oficerów o wszelkiem pojęciu ważności swojego obowiązku i swojej pracy i położenia.

Podajemy kilka zdjęć ze szkoły oficerskiej i grupę oficerów z armii Hallera.

My na wschodzie.

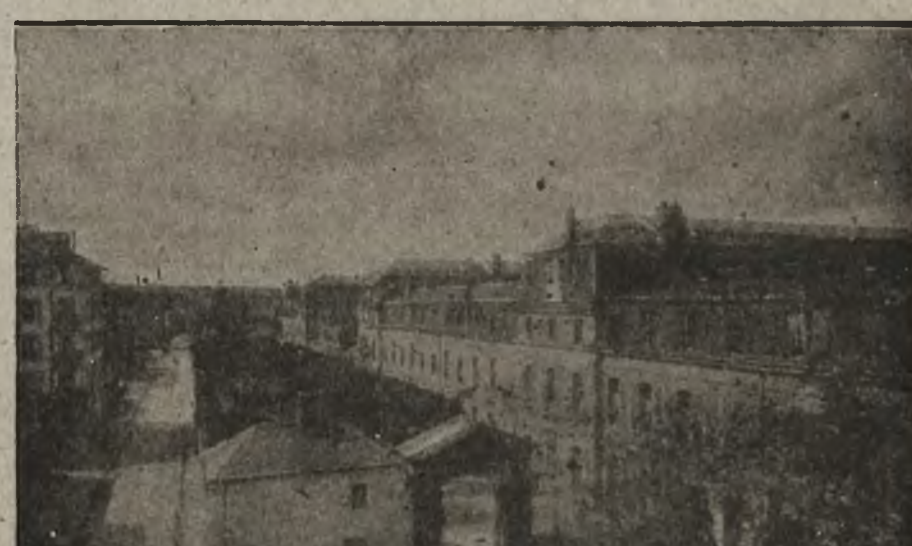
Wiadomość, że kresem marszu armii polskiej na wschód ma być Petersburg i Moskwa, stała się sensacyą dnia, przez ogół jednak przyjętą z głębokiem niedowierzaniem, a zwłaszcza niezadowoleniem. Każą nam grać rolę Napoleona? Bardzo piękna rola, ale zupełnie niepraktyczna, a co przedewszystkiem, najzupełniej bezcelowa. Okazuje się bowiem, że stosunki na wschodzie w miarę zwyżki naszych akcyi w stosunku do bolszewików, przed którymi mamy zasłaniać zachód posiewem naszej krwi, z każdym dniem przedstawiają się gorzej. Rada najwyższa — właściwie Anglia, bo Rady najwyższej niema, tylko angielska rada — dba ogromnie o zrównoważenie naszych akcyi na całym froncie i o ile następuje zwyżka na froncie bolszewickim, o tyle w Galicyi wschodniej koalicya wytęża cały swój spryt handlarza politycznego, aby nasze szanse obniżyć. Stanowisko, jakie obecnie Anglia względem nas zajęła, jest aż nadto jasne. Prowadzenie rokowań pokojowych z bolszewikami, gdy my musimy krwawić się na 800 kilometrowym froncie jest przekreśleniem wszelkiej możliwości wyrównania stosunków między Polską a Anglią. Odebranie Galicyi wschodniej Polsce pod pokrywką mandatu wyległego chyba w głowach bardzo ograniczonych, albo liczących wprost w dziecinny sposób na „potulność Polaków“, którzy zgodzą się na wszystko, co koalicya „rozkaże“ — jest drugim wskaźnikiem, jaką drogą ma się rozwijać nasz stosunek względem Anglii. Ale Anglia musi pamiętać, że każdy handlarz ma swoje chwile niepowodzenie i że my mamy także krew w żyłach, która nie oblicza z angielską flegmą, ale w chwili



Polacy w szkole oficerskiej w Saint Cyr. Komendant szkoły (Malajczyk) (+) z uczniami.



Sala wykładowa.



Polacy w szkole oficerskiej w Saint Cyr: Wejście do szkoły.



My na wschodzie: Oficerowie bojowego szwadronu 10 p. ułanów z dowódcą rotm. Tomaszewskim.

decydującej może wybuchnąć z żywiołową siłą, która potrafi handelesowski pałacyk interesów angielskich zdmuchnąć, jak dziecinny domeczek z kart. Bo też na każdej giełdzie, a przedewszystkiem giełdzie politycznej, ten, który siedzi równocześnie na dziesięciu stołkach, może momentalnie leżeć pod niemi, bo w polityce niejednokrotnie chwila burzy już doścignane owoce przez cały dziesiątek lat. Anglia klasyfikuje młode państwa na wschodzie na swoim targu w precyzyjny sposób z grubo nakreślonymi obrysami spodziewanego rezultatu. Ale jest to rysunek robiony węglem, który tylko lekkie muśnięcie wiatru potrafi i bez wysiłku zniszczyć. Bo trzeba i to pamiętać, że szalbierstwem niedaleko się zajedzie, bo wycieczka tego rodzaju jest zawsze na wozie conajmniej o trzech kołach tylko.

Polska dziś nie jest już państewkiem, a nasza armia na wschodzie jest armią poważną, z którą nawet Anglia musi się liczyć, zwłaszcza, że z drugiej strony musi się wziąść pod uwagę, że siły nasze nie są strawione, ale żywe i w potrzebie nagłej możemy stworzyć jeszcze niejeden front wschodni.

Nasze walory zmieniły się już dziś na wschodzie. Akcye wschodnio galicyjskie, które nam gwałtem wpycha w ręce polityka zachodniej Europy są dziełem fałszywem, bardzo marnego fabrykanta (że marnego, postępowanie z Niemcami to udowodniło, a wschód ten dowód obiema rękami podpisze) a zwłaszcza ogromnie dwulicowego. Bo komu właściwie chce Anglia dać Galicyę wschodnią? To pewne, że żadną miarą Polsce, a to jej sprawa, aby się tak stało. Samoistnego księstwa San Marino wschodnio galicyjskiego nie stworzy, bo napewno miałoby ono żywot motyli, nie posiadając żadnych warunków egzystencyi. Denikinowi nie odda, bo przecie Anglia za wszelką cenę chce teraz popierać bolszewików, bolszewikom nie da, bo już się zanadto zaangażowała z Denikinem. A więc co? Jest się naprawdę w błędnem kole. To jednak nie zdoła nam oczu zamydlić i dziś już niema dwóch kwestyi co do zadecydowania wytycznej linii naszego postępowania względem polityki „angielskiej rady najwyższej“, która ma tylko tę jedną wysokopienną(!) ideę na wschodzie, aby nas jak najwięcej osłabić, a na naszej nafcie położyć swoją „dżentelmeńską łapę“.

A. B.

Cieniom kobiety-żołnierza.

Niechaj żywi nie tracą nadziei —
I jak trzeba na śmierć idą po kolei
Jak kamienie przez Boga rzucone na szaniec!

Może nigdy, tak jak dziś nie było potrzebnem, aby młode pokolenie Polski, szło z odwagą i ochotą, choćby na śmierć, jako te kamienie rzucane przez Boga na szaniec!



My na wschodzie: Sierżant S. K. M. 10 p. ułanów Jabłoński, jeden z najdzielniejszych żołnierzy.

Może nigdy jak dziś, nie trzeba nam było silnych i zahartowanych serc. Bo też po strasznych zmaganiach pięcioletniej wojny, jeszcze podstęp i zdrada święci chwilowy tryumf. A na krańcach naszej ziemi czyha wróg, patrząc zawistnem okiem, na dźwigającą się Ojczyznę naszą.

Kobiety żołnierze, jak młode orlęta z rozpostartemi skrzydłami chcą stać na straży ziemi ojczystej, honoru naszego i tradycyi. Straż naszą tak zaszczytną i honorową pieczętują one na każdym kroku, choćby krwią ofiary. Jedną z tych strażniczek dobra



Polacy w szkole oficerskiej w Saint Cyr: Gen. Petain odbiera raport.



Polacy w szkole oficerskiej w Saint Cyr: Uczelnia



My na wschodzie: Oficerowie i sierżant 3 szwadronu 10 p. ułanów.



Cieniom żołnierza-kobiety: S. p. Katarzyna Chorzępianka (Chińczyk).

narodowego była młoda skrzydlata dusza ś. p. Katarzyna Cnorzępianka jednoroczny ochotnik sierżant O. L. K. słuchaczka uniwersytetu krakowskiego. Zmarła dnia 6 listopada w szpitalu w Warszawie wskutek ran odniesionych na froncie Białorusko-litewskim.

Ta młoda dwudziestodwuletnia dziewczyna była wzorem nieustraszonego żołnierza — służba jej nie ograniczała się do służby wartowniczej. — Wysłana z pierwszym transportem akademiczek krakowskich na obronę zagrożonego Lwowa po odbyciu musztry i kursu karabinów maszynowych, na własną prośbę została wysłaną przez Dowództwo O. L. K. na front już jako kapral.

Brała czynny udział w tej strasznej ofenzywie kwietniowej pod Lwowem, cudów waleczności dokazując, za co też otrzymała nominację na sierżanta.

Przydzielona do piątego pułku piechoty legionu karabinów maszynowych, przeniosła się z tymże na front bolszewicki, gdzie po długiej bohaterskiej walce ugodzona została kulą nieprzyjacielską w płuca.

Z sali koncertowej.

Najbliższe koncerta, urządzane przez „Krakowskie Biuro koncertowe E. Bajański", są ze wszech miar interesujące — obejmują bowiem nazwiska artystów, cieszących się zagranicą zasłużoną sławą i tak:

We czwartek dnia 11. b. m. wystąpi Olga Bauer-Pilecka, obdarzona przepięknym, głębokim głosem mezzo — sopranowym.

W sobotę dnia 13. b. m. wystąpi w sali „Sokoła" Amalia Bartfeld, rodaczka nasza, pochodząca z Krakowa, zdobywająca laury zagranicą, mistrzyni gry skrzypcowej.

W niedzielę, dnia 14 grudnia 1919 r. wystąpi w sali „Sokoła" Wilhelm Backhaus.



My na wschodzie: Dziesiąty pułk ułanów: dowódca karabinów maszynowych ppor. Welman



My na wschodzie: Grupa żołnierzy w oczekiwaniu obiadu.



Z sali koncertowej: Olga Bauer-Pilecka.



Polacy w szkole oficerskiej w Saint Cyr: Grupa oficerów Polaków ze swoim profesorem.



Z sali koncertowej: Amalia Bartfeld.

Guy de Téramond.

Tajemniczy zbrodniarz.

(Tłum. Marya Toczyska).

9

Tenże wyszedł mrucząc coś jeszcze o swoich bagażach pod nosem, ale kiedy znalazł się na ulicy zatarł z zadowoleniem ręce i zaśmiał się na całe gardło!

— Doskonale! monologował idąc powolnym krokiem w dół ulicy. Dowiedziałem się tego, czego chciałem!

Niewiem tylko czy pasażer z Black Old Dog jest moim mordercą z New-Yorku, ale rozjaśnię tę kwestyę później przy sposobności. Ale czego jestem zupełnie pewnym, to to, że człowiek zamordowany w hotelu „Książąt Portugalskich", nie jest tym, za którego go bierze mój kolega francuski... Tak!... to jest jego ubranie, jego kapelusz i pantofle... Wszystko zostało wymyślone z nadzwyczajną zręcznością i ten ruch ma w rekach najdoskonalsze alibi w świecie! Został zamordowany w pierwszym dniu przybycia swojego do Paryża!... Tą drobnostkę przepłacił tylko jedną zbrodnią więcej... tem gorzej dla tamtego — po co znalazł się tak nie w porę pod jego ręką.

— Jednego tylko nie rozumiem — zastanawiał się Newton.

Jak mógł taki dzielny detektyw jak Lapipé, pozwolić się tak oszukać! Albo może on to sam wymyślił całą tę komedyę, aby wyzyskać sprawę na swoją korzyść i zniechęcić tą mistrzowską kombinacyą wszystkich swoich kolegów! Oh! ale na honor! Nie pozwolę mu się tak wyprzedzić! Zobaczymy jeszcze panie Lapipé kto z nas dwóch będzie w tym wypadku silniejszy!

Dramat na placu Molherbes.

Ośm miesięcy upłynęło od tych wydarzeń. Mieszkańcy Paryża wyczytawszy o nich krótką wzmiankę w dziennikach brukowych zapomnieli już o tem zupełnie. Dla wielu przeszły one niepostrzeżone zupełnie...

Dwudziestego grudnia około północy Pani Korpstrauss, żona byłego bankiera niemieckiego, osiedlonego od dłuższego czasu w Paryżu — powracała z opery w towarzystwie córki.

Obydwie kobiety były bardzo wesołe.

Przedstawienie było wspaniałe, a panie te przepadały za dobrą muzyką. Wieczora tego grano właśnie „Romea i Julię".

Pani Korpstrauss oddawna już pragnęła raz jeszcze posłyszeć tę sztukę, kiedy więc wieczorem przy obiedzie posłaniec jakiś przyniósł dwa miejsca do Opery z polecenia pana Seversheim, przyjaciela byłego bankiera — pani Korpstrauss wraz z córką pobiegły się prędko ubierać i w kwadrans później wchodziły już do gmachu Opery.

Teraz, powracały te panie do domu bardzo zadowolone z spędzonego wieczoru.

Kiedy dorożka, która je odwoziła zatrzymała się pod numerem 12 na placu Malherbes, panna Kopfstrauss spojrzała w okna oświetlonego mieszkania i zawołała ze zdziwieniem:

— Oh! patrz mamo! ojciec się jeszcze nie położył, świeci się jeszcze w jego gabinecie.

— Zapewnie skorzystał z naszej nieobecności, aby w papierach swoich poszukać potrzebnych mu aktów. Wspominał nawet coś o tem przed naszem wyjściem — odpowiedziała pani Kopfstrauss.

W pięć minut później dzwoniły do drzwi mieszkania. Ale kiedy przez długą chwilę nikt nie przychodził otwierać panna Korpstrauss zniecierpliwiła się i silnie raz jeszcze przycisnęła guzik elektryczny — ale również bez skutku.

— Cóż to się stało że Ludwika nie słyszy? zdziwiła się pani Korpstrauss.

— Ojciec słyszy przecież i powinien ją uwiadomić, że czekamy — zawołała córka dzwoniąc po raz trzeci z upornym naciskiem.

Doveuer nie mogły spędzić nocy na schodach w strojach wieczorowych.

Po chwili zaniepokojone już tą nienaturalną ciszą, zeszły na dół i zbudziły dozorcę domu.

— Czy Ludwiki niema na górze? zapytała pani Korpstraus poprzez drzwi.

— Nie, proszę pani — odparł zaspany głos dozorcy — około godziny dziesiątej otrzymała telegram.

— Telegram?

— Tak proszę pani. Wzywano ją do Vincennes... podobno córka jej jest śmiertelnie chora. Więc pan Korpstrauss, kazał jej jechać i mnie oddał klucz od kuchni z poleceniem zaniesienia na górę dzienników jutro rano.

— Dobrze, ale to nie wytłumacza mi dlaczego mój mąż nie otworzył, pomimo kilkakrotnego dzwonienia — oświadczyła pani Korpstrauss. Wie dobrze, że nie mamy drugiego klucza.

— Dam pani, ten, który pozostawiła u mnie Ludwika odchodząc. Zaraz się ubiorę i pójdę z paniami.



— Co się tam dzieje?

W chwilę później dozorca próbował otworzyć drzwi mieszkania państwa Korpstrauss, ale napróżno.

— Niewiem co się stało — oznajmił wystraszonym głosem, ale zdaje mi się że sztaba bezpieczeństwa założona jest z tamtej strony.

— Jest to wprost dla mnie niezrozumiałe, mój mąż nie czyni tego nigdy, kiedy nas niema w domu.

— Jednakże pan Korpstrauss ma sen bardzo ciężki. Że się też nie obudził na takie dzwonienie i szarpanie drzwi.

— Ależ przeciwnie — odparła panna Korpstraus — ojciec ma sen bardzo lekki zazwyczaj.

Hałas i szmer głosów rozchodzący się po pustych korytarzach i schodach obudził kilku sąsiadów.

— Co się tam dzieje? — zapytał jeden z nich stając na progu swojego pokoju ze swiecą w ręce.

— Nie możemy się dostać do mieszkania!

— Możeby drzwi wyważyć?

— Tak! Tak! Trzeba drzwi wyważyć! — zawołała pani Korpstrauss, przejęta już od chwili gorączkowym lękiem.

Pod naporem silnych ramion kilku mężczyzn wkrótce drzwi rozpadły się z trzaskiem.

Pani Korpstrauss rzuciła się ku gabinetowi męża i na progu upadła zemdlona, wydając straszny okrzyk przerażenia.

Na środku pokoju pan Korpstrauss leżał w kałuży krwi zakrzepłej, twarzą ku ziemi z rozkrzyżowanemi ramionami, ze sztyletem wbitym w plecy.

Zawezwany przez dozorcę komisarz poczynił natychmiast pierwsze śledztwo i zatelefonował do dyrekcyi policyi.

W dwadzieścia minut później stawił się na miejscu wypadku ajent Lapipe.

Od owego niefortunnego zdarzenia w hotelu „Książąt Portugalskich" przełożeni jego okazywali mu trochę niechęci — nie mogąc mu darować, że pozwolił zamordować tuż pod bokiem swoim złodzieja, którego ścigał, podczas kiedy morderca jego umknął niespostrzeżenie w niewiadomym kierunku.

— Niech się pan postara zatrzeć tamtą sprawę — oświadczył mu szef policyi, wysyłając go na plac Malherbes — Nie sądzę abyś pan utracił już całkiem węch dobrego policyanta. Ta zbrodnia musi zostać wykrytą i ukaraną.

— Niech pan będzie spokojny, panie dyrektorze — odpowiedział Lapipé niemile dotknięty, ja sam pragnę jaknajgoręcej zrehabilitować się w oczach pana i otrzymać pochwałę.

— A więc życzę powodzenia, panie Lapipé.

— Dziękuję, panie dyrektorze. Ale ja jednakże nie zapominam o mordercy mojego złodzieja z Chicago. Mamy niemały porachunek do załatwienia pomiędzy sobą. Wcześniej czy później dostanę go do ręki i nie straci on nic na tej zwłoce, zaręczam panu!

Rezultat pierwszego śledztwa Lapipé'a nie wypadł bardzo pomyślnie.

Niemógł dojść, którędy wszedł zbrodniarz w celu zamordowania pana Korpstraussa.

Drzwi kuchenne, zasuwane również sztaba bezpieczeństwa na noc, bo stara Ruchavke spała w gabineciku przylegającym do sypialnego pokoju — nie były naruszone.

Żadne okno nie zostało otwarte, a kominy były bardzo wąskie i niedostępne i wykluczały wszelkie podejrzenie ucieczki skierowanej w tym kierunku.

Oprócz tego nikt od chwili wykrycia zbrodni nie wyszedł z domu, bo drzwi główne były pilnie strzeżone przez ajentów, a strychy i piwnice przetrząśnięte zostały dokładnie.

Dozorca zaś zeznał, że od godziny jedenastej, od odejścia służącej, a powrotu pani Korpstrauss z teatru, nie otwierał bramy nikomu.

Nowe odkrycie, uczynione przez Lapipe'a, pokryło jeszcze większą tajemnicą zagadkową tę zbrodnię.

Okazało się, że sztylet, którym zamordowano pana Korpstrauss'a, był jego własnością.

Była to wspaniała „navadża" przywieziona niegdyś z podróży po Hiszpanii, a wisiała zawsze w przedpokoju, pomiędzy bogatym zbiorem broni przeróżnej.

Ten szczegół wskazywał, że morderca, musiał być obznajomiony z rozkładem mieszkania i widział, gdzie szukać broni potrzebnej mu do zamordowania ofiary.

Pozatem nic nie zostało naruszone w gabinecie.

Kasa ogniotrwała, zawierająca pieniądze i papiery wartościowe została nietknięta.

Pan Korpstrauss uderzony niespodziewanie z tyłu, podczas, kiedy zajęty był przy biurku, usiłował zapewne powstać, lecz zachwiał się i upadając pociągnął za sobą papiery leżące przy nim.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Rząd bolszewicki i jego reformy.

Aby wytworzyć sobie pewne pojęcie o bolszewikach, ich reformach, ich utopijnych, a często śmiesznych zakusach przekształcenia świata, ujęciu płynącego życia w ramy bezmiernego „szczęścia" należy przedewszystkiem patrzeć szeroko otwartemi oczami na nagie życie rosyjskich sowietów z bliska, a przedewszystkiem zupełnie objektywnie. Punkt oparcia obserwacyi należy obrać taki, aby wir codziennych interesów, dążeń i starań rozlewał się szerokim zakrągiem.

Jako przykład weźmijmy Charków. Miasto to liczy obecnie 800 tys. ludności; posiada uniwersytet w środku pięknego gaiku, ośm kościołów greckiego obrządku w szlachetnym stylu; jest centrem szeroko rozgałęzionego przemysłu, posiada kopalnię rtęci, soli, węgla, żelaza, wielkie wapienniki, zatrudnia 200.000 ludzi. — więc teren pod bolszewicką agitacyę bardzo bogaty.

Bolszewicy weszli do Charkowa w tygodniu Bożego Narodzenia 1918 r.; organizatorzy nowego życia przyszli z Moskwy. Mieszkańcy zdziwili się pierwszemi rozporządzeniami, poprostu dziecinnemi: zniesiono zawód czyszczenia butów na dworcach kolejowych, wychodząc z tej racyi, że człowiek klęczący nawet w pracy przed drugim poniża się; zniesiono portyerów kolejowych i posłańców; każdy podróżny musi sobie swoje pakunki sam nosić. — Pensyonaty o płacach 300 rubli zostają zniesione, ponieważ ceny tej wysokości nie są żadnem dobrodziejstwem, ani udogodnieniem. W rozmowie znosi się „wy", a wprowadza powszechnie „ty". Najdotkliwiej dało się odczuć zamknięcie dzienników, na których miejsce założono „Sowieckie nowiny", „Komunistę" i specyalnie dla żołnierzy i robotników przeznaczoną „Czerwoną gwiazdę". Każda książka przechodzi przez sowiecką cenzurę. Wszystkie hotele rekwiruje się dla komisarzy i oficerów czerwonej armii. Szybko poczęto organizować zarząd miasta; inicyałami P. C. C. P. oznaczono wszystkie budynki rządowe; mają one znaczenie „Ruska republika sowietów socyalistyczno federalistycznych". Charków znalazł się pod jurysdykcyą ukraińskiego komisarza ludowego wysłanego z centrum w Kijowie. Prezesem Rady Ukraińskiej został żyd Chaim Rakowski, który aresztowany jako szpieg bułgarski w Rumunii został uwolniony przez bolszewików z więzienia w Jassach, został potem mianowany przez Trockiego gubernatorem Ukrainy.

Organizatorowie rządu zwołali zgromadzenie elekcyjne, które miało wybrać 200 członków charkowskiego sowietu; kobietom dostęp był wzbroniony, co wzbudziło ogromne zdziwienie. Prawo głosu mieli żołnierze, robotnicy i członkowie komuny. Sowiet miał za zadanie załatwianie spraw bieżących. On delegował 12 członków do komitetu egzekutywnego, w który wchodziła rada wewnętrzna złożona z 5 osób: prezydenta, wiceprezydenta, sekretarza, jego zastępcy i szefa biura. „Wewnętrzna rada pięciu" była ośrodkiem wszystkiego. Ona wyznaczała komisarzy. W Charkowie prezydyentem rady był niejaki Keen letończyk, były robotnik młynarski. Początkowo zachowywał się on względem burżujów przyzwoicie i grzecznie, później jednak zmienił swoją metodę, począł bardzo troskliwą opieką otaczać robotników, w stosunku burżujów zachowując się z całą „rewerencyą" odnośnie do nakazu Trockiego, który wprowadził czerwony teror. Był on naczelnikiem Charkowa i nurzał się we krwi. Pierwszy rozkaz nowego rządu przynosił powszechną równość, drugi oddanie wszystkiego na wspólną własność. Później posypało się szereg rozkazów niekiedy śmiesznych wprost. Nikomu np. nie wolno było wypowiadać mieszkania bez zezwolenia komisarza. Bez jego zezwolenia nie wolno było niczego zakupywać w sklepach, żadnych materyałów przenosić przez ulicę. Każdy kto zajmował 5 pokoi musiał oddać jeden kompletnie umeblowany pokój na użytek czerwonej armii, albo biednych; ten kto miał trzy jeden musiał odnająć lokatorom, dwa musiał jeden oddać jednemu podnajemcy. Ta mieszkaniowa kontrybucya oczywiście w mieście o 800 tys. ludności była fikcyą i czasem nie trzy dni — termin zgłoszenia — ale i miesiąc dla nieszczęśliwego właściciela większej ilości zamieszkałych ubikacyi upływał spokojnie. Kto miał automobile, powozy, fonografy, maszyny do pisania, aparaty fotograficzne, muzyczne, optyczne, elektryczne, albo biblioteki miał rozkaz oddać to na użytek komisarzy. Ten kto rozkazu nie wypełniał zostawał oddany pod trybunał Czrezwy Czaiki jako kontrrewolucyonista. Kościołów nie ruszano; ogłoszono jednak odłączenie kościoła od państwa. Później w kościołach i w budynkach publicznych obalono ikony. W niektórych szkołach początkowych dzieci widząc ikony wyrzucane na ulicę krzyczały: „Dlaczego zabieracie nam naszego Chrystusa. Szkoły prywatne zamknięto, a inwentarz ich został skonfiskowany. Pozwolenie na odbycie publicznej procesyi religijnej wydawał komisarz; osoby, które na szyi nosiły mały krzyżyk musiały za to płacić miesięcznie 25 rubli. Pułkownik Bobrykow opowiada że O. Timofiew z kościoła św. Dymitra, który odprawił publiczne nabożeństwo za cara został zawleczony przed trybunał Czrezwy Czaiki, który go skazał mimo 79 lat na czyszczenie hangardów; później go rozstrzelano. Wszelką posiadłość ziemską konfiskowano. Po wsiach wybrano komitety egzykutywne, które miały zawiadywać wewnętrznymi urządzeniami. Wybrano także komitet biednych, który miał za zadanie podział żywności skonfiskowanej burżujom. W jednej wsi na czele komitetu egzekutywnego stał człowiek którego ta sama wieś przed dwoma laty wypędziła. — Komisarza i członków komitetu miała utrzymywać wieś; dlatego każda rodzina miała co tygodnia dać pół litra masła, pół litra oliwy, 8 jaj i kurę. Każda rodzina mająca konia musiała oddać go na żądanie komisarzowi. Komisarze wydali rozporządzenie, że każdy wieśniak może sobie tyle, ile chce uprawiać z ziemi burżuja. Ale chłop patrzył na te zarządzenia bardzo nieufnie i niejeden był wypadek, że zwracali się do właściciela o wyznaczenie im czynszu za prawo uprawy jego gruntu na swój użytek.

Zarząd miasta ogłosił monopol zbożowy i wieśniakom nie wolno było sprzedawać swego zboża, aż do wizyty oficera sprzedaży; zboże sprzedawane potajemnie, ulegało konfiskacie. Przed wejściem do miasta prawo akcyzne nakazywało opłatę w połowie ceny sprzedać się mającego towaru. Wieśniak godził się na to, bo ostatecznie nic na tem nie tracił, podnosząc cenę sprzedawanego towaru w wysokości opłacanej akcyzy. Później jednak zjawiali się coraz rzadziej, ponieważ nie było odbiorców na towary, wreszcie o wygórowanej cenie. Wieś bowiem od miasta mogła nie wiele potrzebować. Utrudnienie akcyzne dawało się najsilniej odczuć w mieście, gdzie oczywiście szybko począł głód zaglądać.

W ostatnich dniach marca ogłoszono rozkaz rekrutacyi do czerwonej armii. Zwrócono się naipierw o ochotnika. Żydzi oczywiście poczęli szemrać, ale ich nie werbowano. Akcya ochotnicza zawiodła. Z czterech wsi z okolic Charkowa nie zgłosił się nikt. Wtedy ogłoszono służbę obowiązkową i wysłano wojsko, które miało zabierać wszystkich zdolnych do broni mężczyzn. Wtedy wieśniacy pouciekali w lasy. W miastach specyalny komitet wygotowywał listy ludzi zdolnych do noszenia broni; następnie wysyłano pod odpowiednie adresy wojsko, ale najczęściej już takiego proskrybowanego nie było w domu: sprawy nie zasypiano. Pierwszego maja, w dzień święta proletaryatu, urządzono wielkie uroczystości i rewię; komisarze dowiedzieli się, że jeden regiment jest przygotowany do buntu; ruch stłumiono w sposób zdecydowany: 28 oficerów i wszystkich żołnierzy regimentu rozstrzelano. Uroczystość odbywała się w dalszym ciągu, ale skończyła się smutno. Rekrutacya szła powoli. Dziesiątego lipca przyjechał Trocki; zwołał on na wolnem powietrzu olbrzymie zgromadzenie i wezwał mieszkańców o pomoc, mówiąc, że wszyscy kapitaliści całego świata utworzyli ligę przeciwko republikom sowietu, że bolszewizm opiera swoje prawo na sprawiedliwości i dlatego musi podjąć z wrogami tego prawa zdecydowaną walkę. Kiedy jednak począł wzywać do ochotniczego wstępowania do wojska, posypały się jaja i ogórki. Kiedy banda werbownicza zbliżała się do wsi, mieszkańcy uciekali w lasy, uprowadzając cały swój dobytek; mówiono, że bardzo wiele ludzi ginęło w ten sposób z głodu. Często ludzie szli do wojska dobrowolnie. Na całą swą obronę opowiadali, że dlatego zaciągnęli się do czerwonej armii, bo w przeciwnym razie rodzinę ich rozstrzelanoby. Bolszewicy bowiem nie mogąc dać sobie rady w masowej dezercyi przed wojskiem, chwycili się radykalnej metody: rodzinę dezertera rozstrzelano w komplecie.



Rząd bolszewicki i jego reformy: Tryumfalny wjazd komisarzy bolszewickich do Charkowa.

Bolszewicy nie lubieli nazwy „policya" i dlatego ochrzcili straż cywilną nazwą „milicyi". Rozkaz milicyi nakazywał, aby każdy, kto się pojawi na ulicy między godziną 10 wieczorem, a 5 rano bez pozwolenia był rozstrzeliwany.

Były trzy trybunały sądowe: „sąd ludu" pod którego attrybucyę podpadały małe przekroczenia i kradzieże do 100 rubli. „Trybunał", który rozstrzygał sprawy kryminalne i wreszcie Czrezwy-Czaika, która miała całkowitą juryzdykcyę w zakresie spraw politycznych i zbrodni przeciwko komunie. Nie wolno było ogłaszać treści przebiegu rozpraw. O sprawności, a zarazem świadomości powagi rozpraw sądowych świadczy taki wypadek. Dr. Popow został powołany jako świadek. Początek rozprawy wyznaczono na godzinę dziesiątą, ale sędziowie przyszli dopiero o drugiej; rozmawiano jeszcze kilka minut, a następnie sędziowie udali się do sąsiedniej sali, gdy rozprawę prowadził sekretarz. W środku posiedzenia wychyla głowę z poza drzwi jeden z sędziów z zapytaniem. Czy już się skończyło? Wtedy sekretarz zebrał wszystkie papiery i w kilka minut bez dalszego już przesłuchiwania wydano wyrok.

Ta bardzo krótka charakterystyka życia bolszewickiego może dać zaledwie słabe pojęcie o rzeczywistości, która często przedstawia się w barwach mało powiedzieć wprost przerażających Objektywnie patrząc na sposób postępowania i reformowania życia przez rządy sowietów nietrudno zauważyć że niekoniecznie różni się on od carskiej metody. Bezwzględność i silna pięść jak pierwej jest argumentem decydującym. Usunięcie burżuazyi stało się jako teorytycznem, bo jej miejsce zajęła burżuazya komisarzy i robotników. System demokratyczny, jedyny który mógłby życie postawić na tory ładu i spokoju w pojęciu bolszewickim jest wrogiem pracującego ludu; wychodząc więc z tych przesłanek stwarzają dyktaturę proletaryatu, która jest przemalowaną wśród huku maszyn fabrycznych dawną burżuazyjną. Dyktatura proletaryatu przedstawia się równie strasznie jak burżuazyi, a jednak trzyma się ono siłą jakiegoś niezrozumiałego pędu, nie mogąc jeszcze dosięgnąć do wysoko postawionego sztandaru na którymby świat wykreślił te wielkie słowa „Równość"!

Kronika tygodniowa.

I stało się, co się stać miało!

Szanując tradycyę, biorę corocznie czynny udział w laniu wosku w przeddzień uroczystości świętego Andrzeja, pomagając mej poczciwej Weronice, która jest święcie przekonaną, że to, co się wtedy „uleje“, musi się sprawdzić, jak nie zaraz, to później. Pod tym względem ma ona nader bujną wyobraźnię, potrafi tak pięknie objaśnić i wytłumaczyć kształty wylanego wosku, że wmówi w każdego co się jej podoba. Słuchając jej wywodów, przysiągłbyś, że jest tak, a nie inaczej. Zresztą posłuszeństwo domowe wymaga, aby ona miała racyę.

Ulało mi się coś, co wyglądało jak obwarzanek, ona twierdziła natomiast, że to wieniec laurowy, co jest niechybnym znakiem, że czeka mnie sława, jeśli nie za życia, to bodaj po śmierci. Ja byłem natomiast zdania, że to wieniec cierniowy, symbol tych wszystkich przyjemności, jakich los nie szczędzi człowiekowi w domu i poza domem. Spróbowałem jeszcze po raz drugi i odlałem coś, co wyglądało zupełnie tak, jak figa.

I nie spodziewałem się nawet, iż się ta wróżba spełni tak rychło. Minął zaledwie tydzień, a święty Mikołaj przyniósł mi... figę, choć święcie byłem przekonany, że tego roku chyba o mnie nie zapomni i nagrodzi cierpliwość, z jaką na jego odwiedziny od lat kilku oczekuję.

Obudziwszy się w dniu 6. grudnia o godzinie siódmej rano według czasu letniego, sięgam pod poduszkę... nic!... zaglądam pod łóżko... nic, oprócz przedmiotów, które się tam zwykle znajdują. Jasny dowód, zaobserwowany wśród ciemności, gdyż słońce nie wylazło jeszcze z poza komina, że św. Mikołaj i w tym roku o mnie zapomniał. Zrezygnowany przewróciłem się na drugi bok, aby doczekać się wschodu słońca, nie uznającego warszawskiej rachuby czasu. A wstając potem koło ósmej, powiedziałem sobie, że na świecie niema sprawiedliwości, jeśli bowiem komu, to mnie należał się jakiś, choćby mały prezencik.

Ale temu winien św. Andrzej, raczej zaś ów wosk, z którego ulała się figa.

Nie pierwszy to zresztą zawód w mem życiu i mam nadzieję, że nie ostatni.

Tyle razy spodziewałem się, że zostanę laurentem fundacyi Nobla, wszystko mi jedno z którego działu, byle z gotówką, a tu ani rusz. A zdałaby się ta sumka, zwłaszcza w obecnych czasach, gdy sytuacya poprawia się z dnia na dzień, ale... z pieca na łeb. Za owe sto kilkadziesiąt tysięcy, jakie szczęśliwy laurent dostaje, można byłoby oporządzić się jako tako, kupić sobie paltot, ubranie, trzewiki, a może nawet i kapelusz, sprowadzić kilka cetnarów węgli i bodaj ze dwa korce ziemniaków, Weronice dać na nowy kostyum i drobne wydatki, a może zostałoby i na jaką przyjemność, np. na podróż na południe, to jest tramwajem na Podgórze i z powrotem.

„Roiłem, marzyłem, czcze mary goniłem — wiatr rozwiał sny złote przedemną...“ powtarzam z poetą i powiadam sobie, że kto się do torby dziadowskiej, tak jak ja, urodził, ten się kuferka nigdy nie dorobi.

Byłbym już zrezygnował z owego złotego medalu, który każdemu laurentowi ma być pono odbity na odwrotnej stronie, a byłbym się zadowolił ową gotówką.

Niestety, spaliło na panewce. Nie poznali się na mnie obcy, sądziłem, że bodaj swoi oddadzą hołd cichej a prawdziwej zasłudze, to jest, że krakowska Akademia Umiejętności przyznając w tym roku nagrodę z fundacyi Jerzmanowskich, nie zapomni o mnie.

Czterdzieści tysięcy koron austryackich to wprawdzie nie tak wiele, ale zawsze przecież coś. Za te pieniądze można będzie bodaj pójść... do *Bagateli* i rozradować swą duszę, nie mogąc rozweselić ciała. *Kuryerek* z takim entuzyazmem wyraża się o artystach, że mimowoli bierze człowieka ochota, aby się przekonać na własne swoje oczy, jak oni wyglądają. Zwłaszcza Weronika była bardzo ciekawa, ale udało mi się wyperswadować jej, że ciekawość to pierwszy stopień do piekła, a ja jej życzę królestwa niebieskiego.

I ta nadzieja zawiodła. Nagrodę z fundacyi Jerzmanowskich przyznano panu Paderewskiemu.

Zawód więc za zawodem, czyli, że owa „Andrzejowska“ figa sprawdziła się w zupełności.

W międzyczasie rozleciał się gabinet warszawski, a codzienne pisma doniosły, że nowy złożony będzie z najzdolniejszych i najbardziej fachowych osobników.

— Jeśli nie teraz, to już nigdy!... — powiedziałem sobie i czekałem, rychło z Warszawy nadejdzie zaproszenie, bym objął którą z tek.

Czekałem jednak daremnie. Do dnia dzisiejszego nikt się o mnie nie spytał. Być może, że nominacya nadejdzie jeszcze, ale wtedy ja powiem, że nie mam już ochoty pracować dla społeczeństwa, które nie umie ocenić prawdziwych zasług. Nie jest wprawdzie wykluczonem, że po śmierci doczekam się pomnika, tak jak ś. p. Mickiewicz (Kościuszko nie może tego o sobie powiedzieć!...), ale cóż mi z tego. Co najwyżej będą mieć z tego frajdę gołębie i towarzysze z pod „Czerwonego sztandaru“. Dla pierwszych jest to punkt obserwacyjny, skąd patrzą na to, co się dzieje na świecie (choć czasem zachowują się niezupełnie poprawnie!...), dla drugich mównica, z której wygłaszają bardzo piękne teorye, mające świat pchnąć na zupełnie nowe tory.

Kraków nie ma jednak szczęścia do komitetów pomnikowych. Obawiam się, że i z mym pomnikiem mogłoby być to samo co z pomnikiem Mickiewicza, który długi czas czekał na „przychylne uznanie“ znawców, lub Kościuszki, przeznaczonym do ozdoby podwórza w koszarach miejskiej Straży pożarnej.

Mamy u siebie zbyt wielu znawców sztuki i miłośników Krakowa, nic też dziwnego, że co jednemu się podoba, drugi pod względem estetycznym i historycznym uważa za obrazę boską.

Mają się o mnie kłócić po mej śmierci, wolę za życia zrezygnować z tego zaszczytu.

I ja należę też do miłośników przeszłości Krakowa, wobec czego uważam za profanacyę dawnych tradycyi artykuł p. Hösicka w *Kuryerku*. Autor żąda, aby były austryacki odwach (dzieło, jeżeli się nie mylę, dyrektora c. k. budownictwa galicyjskiego, inżyniera Moraczewskiego...) zastąpić inną, stylową budowlą. Dziełu temu, właśnie ze stanowiska archeologicznego i estetycznego musiałbym zaprotestować. Archeolog nie pogodzi się nigdy z tem, aby Kraków miał być pozbawiony takiej ozdoby, jak ów komin nad odwachem, którego poprostu zazdroszczą nam wszyscy obcy, zwiedzający Kraków. Według ich zdania najpierw był ten komin, potem dobudowano doń odwach, a wreszcie i wieżę, przeznaczoną na pomieszczenie pracowni chemika miejskiego w dni targowe. Rozmiary jego świadczą nadto, że dawniej nie brakowało w Krakowie węgli. Także i estetycy byliby bardzo zmartwieni, gdyby Rynek pozbawiono tej ozdoby, dostosowanej do stylu kamienicy Rajala, w której mieści kawiarnia „Secesya“.

Pan Hösick proponuje dalej, aby w piwnicy byłego ratusza urządzić winiarnię, na piętrach muzeum miejskie, z górnych galeryjek zaś mogą się ciekawi przyglądać bliższym i dalszym okolicom, mogą także rozsyłać stąd widokówki, z czego miasto miałoby nawet pokaźne dochody.

Na winiarnię zgoda, o ile wino będzie w samej rzeczy *Hungariae natum*. Zachodzi przecież obawa, że będzie to wyrób krajowy. Nie godzę się też na odrestaurowanie samej wieży od zewnątrz, gdyż zepsułoby to zupełnie harmonię, jaka panuje między jej odrapanemi murami i „kocimi łbami“, którymi wybrukowany jest nasz Rynek.

Niechaj zatem wieża ratuszowa zostanie sobie taką, jaką jest dotąd. Kto ma ochotę napić się wina, może to uczynić w pierwszej lepszej winiarni, chcący zaś widzieć Tatry, mogą się wybrać na kopiec Kościuszki, stąd można objąć okiem daleko szersze przestrzenie.

Poco zresztą wywoływać wilka z lasu?... Niech tylko ktoś poda projekt jakiej restauracyi, zaraz się znajdą dwa obozy, jeden za, drugi przeciw. Tak było ze szpitalem św. Ducha, niedawno zaś z ruderą obok kościoła św. Idziego. Archeologowie, historycy i estetycy dość wtedy napsuli atramentu, a był on daleko tańszy, niż jest dziś. Gdyby zresztą odrestaurowano wieżę ratuszową, byłoby wskazanem, aby śmieci i błoto z Rynku zmiatano przynajmniej raz w tygodniu, a to naraziłoby miasto na nadmierne wydatki, na które brak pokrycia w dotychczasowym budżecie, zamkniętym, jak zwykle, deficytem.

Na ten temat mógłbym pisać długo i szeroko, niestety, muszę się liczyć z miejscem, gdyż papier jest wprawdzie cierpliwy, ale nie rozciągliwy, a muszę kilka słów odpowiedzieć Szan. Prenumeratorce z Tarnowa, która w ubiegłym tygodniu nadesłała mi list i to tak obszerny, że stanowczo nie wierzę, jakoby stale brakowało jej czasu.

List ów odczytałem od deski do deski i, kto wie, czy nie płakałbym wraz z nią nad jej kłopotami, gdyby nie to, że towarzyszek niedoli ma więcej, a jedną z nich jest i moja Weronika.

A ona nie pozwala mi płakać nad swym i mym losem, powtarzając stale:

— Bądź zadowolony, że nie jest jeszcze gorzej!

Przyznaję jej najzupełniejszą racyę, bo i jakże mógłbym być innego niż ona zdania!... Wprawdzie ona przysięgała na posłuszeństwo, jak dotąd jednak, to ona wydaje rozkazy, a ja je spełniam i to bardzo posłusznie.

I ona też obchodzi się bez służącej, tak, jak Szan. Prenumeratorka z Tarnowa, ale to już dziś taka moda. Bo i pocóż żywić dziś sługę i być narażonym na jej grymasy, gdy można się bez niej obejść bardzo wygodnie. Dawniej, gdy się gotowało w domu obiady, gdy trzeba było przynieść węgli w piwnicy, tego, lub owego z miasta, nie obeszło się bez sługi, dzisiaj to przecież odpadło wszystko. Nauczyliśmy się obchodzić bez wszystkiego i po wojnie, gdy nastaną normalne stosunki, będziemy to mieli „jak znalazł“. Co drugi, lub druga, będzie milionerem!

Radzę zatem i Szan. Prenumeratorce pogodzić się z losem, który jest wprawdzie garbaty, ale nie ulega kwestyi, że się jeszcze wyprostuje. Jeżeli nie zaraz teraz, to może zaraz potem. Pocóż się zresztą kłopotać i jeszcze cięższem robić swe życie, gdy koniec świata już za pasem?... Choćbyśmy zresztą narzekali, nie wiem jak głośno i rzewnie, czy się to zda na co?... Trzeba pamiętać o tem, co powiedział nasz pan fizyk, że „mimo przeciwności nie upadaj na duchu“. A musiał mieć racyę, gdyż inaczej nie byłby został ministrem i to do tego zdrowia!

Co do owych zaś amerykańskich darów dla dzieci na co Szan. Prenumeratorka narzeka, nie może kronikarz dać żadnego wyjaśnienia, gdyż dotąd nie miał sposobności spotkać się z nimi, jako, iż nie posiada potomstwa w tym wieku, aby mógł się dla niego ubiegać o mąkę, biały cukier, lub mleko kondensowane. Mógł, co prawda, należeć do komitetu zajmującego się ich rozdawnictwem, ale się spóźnił. Wszystkie miejsca były już zajęte, gdy on ofiarował swą współpracę i... podział łupów.

Aby zresztą być członkiem jakiegoś dobroczynnego komitetu, trzeba mieć do tego specyalną zdolność i... szczęście. Szczęście, by się tam dostać, a zdolność, aby na tem wyjść jak najlepiej, to jest, trzymając się zasady: „Niech nie wie prawica, co bierze lewica“ — albo „Najpierw ja, potem reszta!“...

Ostatecznie można byłoby się z tem pogodzić, że ktoś, ofiarując swe siły, zdrowie i czas, każe sobie za to płacić, ale znów z drugiej strony dziwnie bardzo wygląda współpraca tych osób, zajmujących się dobroczynnością rzekomo dla idei, a w gruncie rzeczy robiących sobie z niej bardzo popłatne rzemiosło. I nie zaprzeczy chyba nikt, że u nas sporo jednostek, jako jedyne źródło swego dochodu obrało sobie pracę w rozmaitego rodzaju komitetach dobroczynnych, urządzaniu dni kwiatka, loteryi fantowych i t. d. Pamiętają przytem nie tylko o sobie, ale i o swych najbliższych.

Ilekroć zdarzyło mi się próbować szczęścia na loteryi fantowej, tyle razy przekonałem się, że mam pecha. Mogłem kupić nawet i setkę losów, a z pewnością nie wygrałbym nic. Natomiast moja Weronika, nabywając choćby tylko jeden los, była pewna, że wygra, wiedziała bowiem, że „ręka rękę myje“ i udawała się we właściwym kierunku, zapewniając, że i ona się przy sposobności odwdzięczy. Byłem sam raz świadkiem jej szczęścia. Kupiła los za szóstkę, zapowiadając sprzedającej pani, iż ogromnie byłaby zadowoloną, gdyby tak wygrała zająca, bo na niedzielę spodziewa się gości. Tamta własnoręcznie wyciągnęła los... z szuflady, naturalnie „pełny“. Pokazało się, jednak, że wygraną na ten numer stanowił słoik musztardy. Poradzono sobie przecież, aby Weronice nie robić zawodu. Zmieniono naprędce numery, twierdząc, że to pomyłka i czcigodna moja połowica wróciła z zającem z „polowania“, zapewniając solennie, że i ona się odwdzięczy swej przyjaciółce przy najbliższej sposobności.

Tak było zawsze, tak jest i tak będzie, jak długo będą istnieć komitety dobroczynne, loterye fantowe i tym podobne przedsiębiorstwa, kończące się często takiem fiaskiem, jak ów festyn w Warszawie na dochód polskich żołnierzy. Przyniósł on dochodu trzydzieści tysięcy marek, ale wydatki komitetu wynosiły ponad czterdzieści.

I z owymi darami amerykańskimi dzieje się tak samo. Najpierw w drodze narażone są na wielkie niebezpieczeństwo i najczęściej nie dochodzą na miejsce przeznaczenia, jeśli zaś dojdą, to dopiero kłopot, co z nimi zrobić, albowiem „wielu jest wezwanych, a mało wybranych“, a trudno wszystkich obdzielić w tej mierze, aby mieli dość.

Komitet rozdzielczy dba więc w pierwszym rzędzie o siebie, potem o swoich, w rezultacie pokazuje się, że dla tych, dla których owe dary były przeznaczone, nic nie zostało. Czasem zlitują się nad komitetem złodzieje i skradną tę resztę, jaka jeszcze została.

Tak było w Krakowie z materyałami odzieżowymi, nadesłanymi z Ameryki, nie inaczej dzieje się na prowincyi z mąką, cukrem i mlekiem dla dzieci. Są to artykuły bardzo pożądane nie tylko dla dzieci, ale i dla starszych, lubiących dobrze i smacznie zjeść, zwłaszcza, jeśli to nic nie kosztuje.

Marya Toczyska Segeny.

BEZ STERU

Powieść.

20

Jankę przejmował dreszcz lęku i odrazy ilekroć mąż jej wchodził do mieszkania, przeważnie w podnieconym stanie, upominając się w zuchwały sposób o pieniądze, przyprowadzając ze sobą jakichś współtowarzyszy pijatyki, którzy czuli się u niego, jak u siebie w domu. Kilka razy jeszcze przemogła się, powodowana tylko uczuciem obowiązku i próbowała opamiętać go, wzbudzić w nim poczucie krzywdy, jaką sobie i jej wyrządza, natchnąć energią i ochotą do pracy, ale wszystko okazało się daremne.

— Daj ty mi spokój — burknął Lisiewicz poirytowany. Nie wtrącaj się w to, co do ciebie nie należy. Trzeba było wcześniej, zanim wyszłaś za mnie, pomyśleć o tem. A teraz mnie nie nudź, bo się całkiem zabiorę z domu i więcej nie wrócę.

A groźba ta jeszcze najmniej przerażała Jankę. Myślała czasem nawet, aby męża opuścić próbować żyć sama. ale ostatnie jeszcze jakieś względy dla niego, obawa opinii, która bezsprzecznie przeciw niej mogła się odwrócić, w końcu bezsilność i bierność, do której przywykła już pomimo chwilowych buntów, wstrzymywały ją od tego ostatecznego kroku.

— Co pomyślą o nas — reflektowała się. Niedawno Isia uciekająca od rodziców, teraz ja od męża. Powiedzą, że jestem awanturnicą i wszyscy odsuną się odemnie, a ja przecie żyć muszę!

Przypomniało jej się zajście z młodą Kornicką i surowe wystąpienie matki. Kobieta zamężna istnieć może widać w najgorszych warunkach, być nieszczęśliwą, poniewieraną, prowadzić w końcu życie nawet najbezwstydniejsze, ale z chwilą, kiedy czuwa nad nią, oczywiście wobec świata prawna opieka męża, wszystkie te względy odpadają na bok. Jest zamężną i to wystarcza, aby zarzucić zasłonę na najlogiczniejsze momenty jej życia i otoczyć je fałszywą aureolą szczęścia i szacunku.

— — — — — — — — — — — — —

I znowu wiosna rozpromieniła ziemię całą, sząc ciepłe oddechy i fale blasków słonecznych. Ożywiły się drzewa pyszną zielenią, rozpachniały kwiaty w tęczowe barwy skrajne, rozedrgało powietrze prądami żywymi. Radosny krzyk życia zagłuszył skargi Rozrodera. siła natury przeszła tryumfująco po niejednym smutku, osuszając łzy, budząc uśmiechy, wskrzeszając wiarę uśpioną. Uczyniło się gwarno na ulicach miasta, jakgdyby nagle więcej ludzi przybyło, a każdy prawie nosił na czole jakiś znak świeżej nadziei, jakieś marzenie niedoścignięte jeszcze.

Ale byli i tacy, którym szrony jesienne życia nigdy już z twarzy zejść nie miały, których oczy mgłą wieczną przysłonięte, nie widziały ani bogactwa barw hojnie rozlanych, ani błękitu oczyszczonego nieba, ani promieni złotych, schodzących blisko ku ziemi.

Dla tych wydziedziczonych nie było wiosny...

Zapatrzeni w szarą nędzę własnego sumienia szli automatycznie naprzód, wlokąc za sobą ciężkie jarzmo nagromadzonej niedoli i zawodów jak ludzie-upiory, z których śmierć przedwczesna wyssała już żywotną treść sił, pozostawiając tyle tylko, aby starczyło na dzień jutrzejszy...

Janka siedziała w swojej maleńkiej pracowni przy maszynie, pośród nagromadzonego stosu przeróżnych materyi i rozpoczętej roboty. Urządziła sobie ten pokoik jaknajlepiej, ale pomimo to z każdego kąta wiało to piętno właściwe mieszkaniom ubogich.

Ze starych mebli z Zegajnik nie wzięła nic ze sobą, a te kilka sprzętów, które tu stały, wzięte były na spłaty od żyda i raziły oko nędzną banalnością i zużyciem, świadczącem o wielu latach usług, oddanych ich skromnym chwilowym właścicielom.

Zachód słońca, gdzieś poza miastem, rozpalił zupełnie niebo ognistą falą złota i purpury, rozprószył fioletowe, ciepłe odcienia po murach kamienic i wieszał orzeźwiającą powietrza po ulicach miasta, ale tego wszystkiego odgadnąć tutaj nie było można.

Jednostajny, smutny zmierzch rozpędził się po ścianach i spowił ubogie sprzęty, rzucając na nie cień jeszcze bardziej szary i przygnębiający.

Janka odeszła od maszyny, bo już szyć nie mogła i nie zapalając jeszcze lampy dla oszczędności, położyła się w drugim pokoiku na łóżku, chcąc trochę wypocząć.

Leżała zaledwie kilka minut. Kiedy zapukano do drzwi pracowni Janka wstała i poszła otworzyć. Do pokoju weszła, stara, gruba żydówka w czarnej peruce, na której kołysał się kapelusz przedpotopowej jakiejś formy, w aksamitnym, wyrudziałym żakiecie.



— Ja i dziś raty za maszynę dać nie mogę.

— Dobry wieczór pani — wyrzekła przeciągłym głosem, siadając ciężko na pierwszem krześle, jakie napotkała.

— Dobry wieczór — odparła Janka, niemile dotknięta jej widokiem.

— Oj! jak tu do pani daleko! Myślałam, że już tu nie zajdę nigdy. Kto widział tak daleko mieszkać. Moje biedne nogi.

Ręką, ubraną w wełniane mitenki, pocierała kolana, stękając głośno.

— Nie spodziewałam się pani tak prędko, pani Majerowa — przerwała Janka jej narzekanie.

— Pani się mnie nie spodziewała? to mnie bardzo dziwi! — odparła żydówka, rozglądając się świdrującemi oczami po pokoju. Dziś jest już siódmy, a pani miała być u mnie drugiego. Ja tak wierzyłam w punktualność pani, że ja myślała broń Boże, że tylko choroba przeszkodziła przyjść do mnie. Ale widzę panią w dobrem zdrowiu na moją radość.

— Pani Majerowa, ja i dziś raty za maszynę dać nie mogę — wymówiła Janka szybko. Nie potrzebnie tylko pani fatygowała się tutaj.

Małe, czarne oczy żydówki zabłysły żywo.

— A to coś nowego dla mnie! — zawołała podniesionym głosem. Ale pani chyba żartuje! Młode osoby lubią żartować, niech pani będzie na zdrowie!

— Ja wcale nie żartuję, pani Majerowa, ja pieniędzy na ratę nie mam.

— Co to znaczy nie mam! Pani mówi do mnie całkiem nieprzyjemne słowa. Ja już trzeci miesiąc czekam cierpliwie i przykrości nie robię, bo ja wyrozumiała kobieta i pani powinna się na tem zrozumieć.

— Ten miesiąc jeszcze musi pani poczekać, moja pani Majerowa — prosiła Janka, błagalnie patrząc na żydówkę. Może później...

— To już jest całkiem dziecinna mowa, nie ubliżając pani — zirytowała się Majerowa. Co to jest musi? Ja nic nie muszę moja pani, a „później" to żadne słowo do interesu. Ja już dłużej czekać nie będę! Jak pani maszynę brała, to mówiła, że spłacać będzie miesięcznie po 30 koron i ja uwierzyłam, bo ja w szlacheckie słowo zawsze wierzę. Co pani sobie myśli? Pani chce, żeby Majerowa powiedziała, co pani słowo, to żadne słowo, i tyle znaczy co z przeproszeniem pijaka gadanie?! Co dla takiej pani 30 koron znaczy? To tak jak dla mnie biednej żydówki bułka za centa. Ja przecież wiem, z kim mam do czynienia. Ja na panią tylko raz spojrzałam i zaraz sobie powiedziałam, że daj Boże, aby moje córki były takie.

Janka bezradnie usiadła na krześle i wpatrzyła się w bladą, nalaną twarz żydówki.

— Ale kiedy moja pani Majerowa, ja naprawdę nie mam... mnie bardzo przykro naprawdę... ale skąd ja teraz wezmę... tak, jak mówiłam... może później...

Majerowa wybuchnęła uśmiechem, aż się zatrzęsła cała na stołku.

— Co to nie mam? Pani mnie rozśmieszyła na mój honor! Co to niemam? A mąż? Taki piękny, edukowany mężczyzna! On prawie dla żony skąpy być nie może!

Kiedy on w tych czasach tak mało miał dochodu — tłumaczyła jeszcze Janka.

— I to się zdarza u najporządniejszych państwa — odparła dobrodusznie żydówka. Ale ja pani coś powiem...

Przysunęła się z krzesłem do Janki i szepnęła poufale, pochylając się ku niej.

— Jak mąż niema, to za to inni mają. Wiadoma rzecz!

Janka spojrzała zdziwiona.

— Nie rozumiem pani.

— Pani taka mądra, a nie rozumie — uśmiechnęła się słodko Majerowa i jej małe oczy coraz bystrzej ogarniały postać Janki. — Ja pani coś powiem. Niech pani mnie zawierzy, to dług będzie spłacony i pieniędzy dużo pani mieć będzie. Na mój honor tak mówię pani samą prawdę.

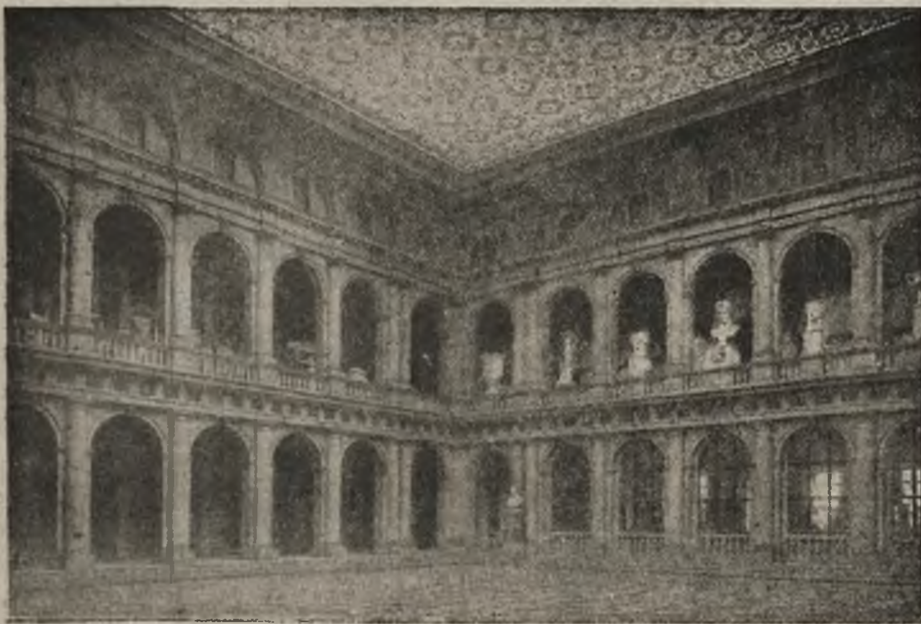
Janka zdumiona była temi słowami i nagłą zmianą, zaszłą w żydówce. Przed chwilą dosyć natarczywie dopominała jej się o ratę zaległą, a teraz ta obietnica?

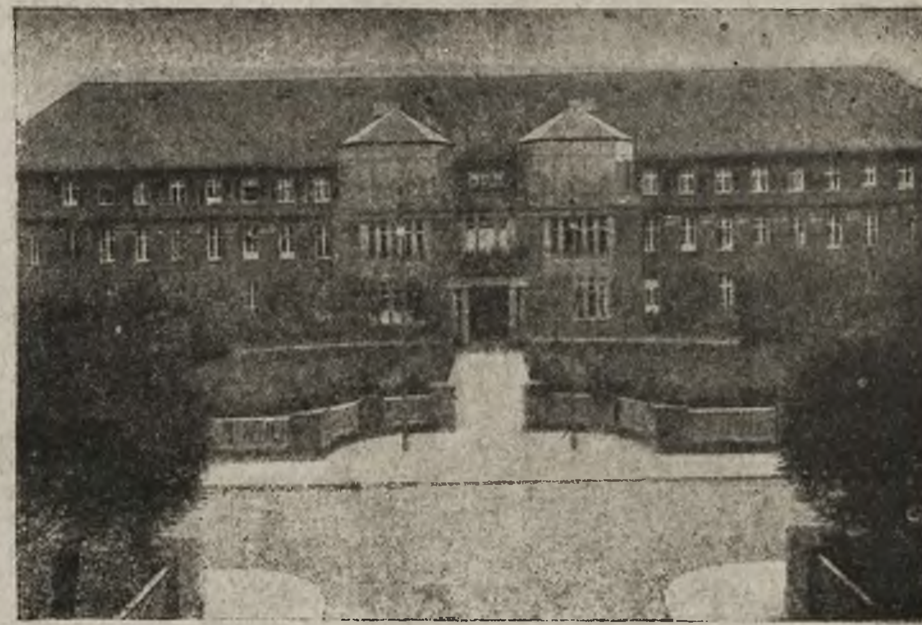
— W jakiż ja sposób mogę dojść do tego? — zapytała żywo. Chyba że Majerowa dopomoże mi do wyszukania jakiegoś korzystnego zarobku, albo pożyczy mi jeszcze.

Żydówka otrząsnęła się jakgdyby ją gad jaki wstrętny dotknął.

— Fe! fe! Niechże pani wypluje takie całkiem niemądre słowa! Ja mam jeszcze pożyczyć! A skąd ja wezmę? Ja od rana dziś o suchej bułce chodzę. Ja wiem, że pani mnie skrzywdzić nie chce. Ja pani dam takiego człowieka, co ma pieniądze i da tyle co pani zechce. Na moje zdrowie, mnie pani bardzo żal, bo ja mam takie płaczliwe serce i oczy moje patrzeć nie mogą, że się taka ładna i młoda pani marnuje. Ja już tak zrobię, żeby było dobrze. Niech to już będzie moja fatyga. A pani niech tylko do mnie przyjdzie jutro wieczorem.

(Ciąg dalszy nastąpi).





Główna sala uniwersytetu. Otwarcie uniwersytetu w Strasburgu: Klinika chirurgiczna.

Otwarcie Uniwersytetu w Strasburgu.

Dnia 22 listopada 1918 roku wojska francuskie pod dowództwem generała Gonraud'a zajęły miasto Strasburg: w dwa dni później uniwersytet otworzył swoje podwoje. Kiedy Niemcy w roku 1870 weszli do Strasburga potrzebowali 18 miesięcy, aby uniwersytet znowu powołać do życia. Nie jest to dowodem większej sprężystości administracyjnej Francuzów, ale jasne wskazuje, że Alzacya i Lotaryngia były zawsze duchem przy swojej macierzy.

Marzenia snów, czekano chwili, kiedy na strasburskie katedry uniwersyteckie wejdą francuscy profesorowie. Marzenie się ziściło po czterdziestu siedmiu latach niewoli. I jeżeli słabo dotychczas zasilali uniwersytet niemiecki studenci z Alzacyi i Lotaryngii, teraz pociągnęły tłumy, aby zdobywać dalej jak największe walory pomyślności i rozwoju ukochanej ziemi przez pracę naukową.

Reorganizacyą i restauracyą przewróconego do życia uniwersztetu strasburskiego zajął się p. Milleraud, który szybko począł gorącą pracę nad odbudową nowej francuskiej placówki pracy Praca tworzy się sama w sobie i sama za siebie. Dziś znajduje się tam 170 profesorów na wszystkich fakultetach.

Uroczyste inauguracyjne posiedzenie odbyło się 22 listopada bieżącego roku w rocznicę tego dnia, w którym trójkolorowy sztandar zawisł na starym uniwersytecie strasburskim.

Poświęcenie kościoła w Miękiszu Nowym.

Kościoły na kresach wschodnich są ogniskiem, krynicą ducha polskiego. Gdzie ich brak, tam lud dąży do cerkwi, słucha kazań ruskich i masowo się wynarodawia. Kościół zaś z dzielnym księdzem — kapłanem jest twierdzą, w której szukają schronienia rozbitki, w których się kształtują serca, rozniecа moc uświadomienia. Niestety jeszcze wiele wsi nie ma swej świątyni, to też bardzo często tysiące giną dla Polski. Do takich należał Miękisz Nowy w pow. jarosławskim. Tu brak było czynnika uświadamiającego, to też z biegiem lat chłop polski rozproszony po obsiedlach ruskich zapomniał mowy ojców, do tego stopnia, że nie chciał mówić po polsku jako „językiem pańskim", podkreślając



Poświęcenie kościoła w Miękiszu Nowym: Komitet i uczestnicy poświęcenia (X) ks. Rychlicki, (XX) ks. Osiński twórca kościoła, (XXX) księstwo Giedroyciowie z rodziną



Otwarcie uniwersytetu w Strasburgu: Główny budynek uniwersytecki.



Poświęcenie kościoła w Miękiszu Nowym: Główny ołtarz; przemowa ks. Wlazowskiego.

natomiast na każdym kroku, że chce mówić językiem ruskim — chłopskim. Zdawało się, że setki dusz są stracone dla Polski. Na szczęście znalazł się człowiek niezłomny, działacz wytrwały, ksiądz Wojciech Rychlicki, który widząc ogromne spustoszenie, chciał ratować Polaków. Bez żadnych środków, bez funduszów przystąpił do budowy kościoła. Wnet jednak pospieszono mu z pomocą, I tak Księstwo Gedroyciowie, rozumiejąc znaczenie kościoła, ofiarowali 10 morgów pola, hr. Zamojski 5 tys. kor., oprócz tego napłynęły liczne ofiary ze świata jak i z ekspozytury odbudowy. Zaś arch. podp. K. Osiński, konserwator zabytków na środkową Małopolskę, opracował plany, kosztorysy zupełnie bezinteresownie. W kilka miesięcy budowę ukończono. Niedawno właśnie nastąpiło poświęcenie kościoła, którego dokonał dziekan, ks. Wlazowski. Do tysiącznych rzesz wygłosił piękne kazanie ks. Szafrański. Kościół zbudowany jest w stylu zakopiańsko-śląskim, przykuwa do siebie przedziwnym urokiem, prostotą, wieje od ścian sosnowych, od wiązań piękno pierwiastków polskich, dając dowód, że mamy przebogatą Krynicę w naszem budownictwie, tak bardzo zapomnianem. Z całem naciskiem należy podkreślić zasługę K. Osińskiego, jednego z nielicznych wytrwałych pracowników-zapaleńców, jak też i ks. Wojciecha Rychlickiego, który podjął się dzieła w najtrudniejszych warunkach, a wśród trudu i nieraz wielkich przeszkód przyświecała mu jedna myśl — dla Polski.

Przegląd teatralny.

(Przegrupowanie sił scenicznych).

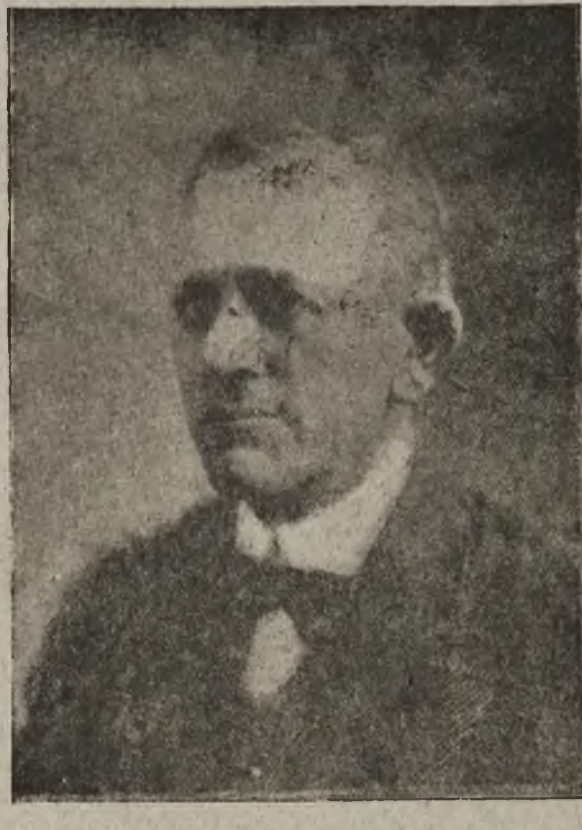
W małym świecie artystycznym zaszły zmiany, które zadecydują w niedalekiej przyszłości o losie wszystkich teatrw krakowskich.

Oto doskonały zespół dramatyczny Teatru Powszechnego ulegnie niebawem zupełnemu rozbiciu, gdyż najtęższe jego siły przechodzą do nowozawiązanego Teatru Cieszyńskiego i to już z Nowym Rokiem, inne zaś przechodzą do „Bagateli“ (p. Trzywdar) lub do Teatru J. Słowackiego. Miejska komisya teatralna nietylko temu przegrupowaniu sił nie przeszkadza, ale najwidoczniej dopomaga. Czyżby po cichu zadecydowała już likwidacyę dramatu w Teatrze Powszechnym?

Wobec tajemniczego oblicza M komisyi teatralnej, trudno coś pewnego dziś o tem powiedzieć. Nie ulega tylko wątpliwości, że świadomie czy nieświadomie wszystkie czynniki do tej likwidacyi się przyczyniają. Kto zna wyrobienie zasługi i pracę zespołu dramatycznego Teatru Powszechnego, ten z pewnością w zjawisku powyższem nie dostrzeże działania twórczego, ale chyba tylko — destrukcyę.

I zespole Teatru J. Słowackiego widoczne dwie zmiany, tym razem — na korzyść tegoż.

Komunikaty teatralne doniosły o zaangażowaniu nowych sił p. Brackiego z Poznania, p. Ireny Pobóg z Teatru Pow., a przedewszystkiem p. St. Wysockiej, która zdobyła sobie w latach wojennych opinię pierwszej siły reżyserskiej w Polsce. Czy jednak w tym charakterze zużytkuje jej zdolności



Przegląd teatralny: Artysta dramatyczny z teatru „Bagatela“ p. Berski.



Poświęcenie kościoła w Miękiszu Nowym: Ogólny widok kościoła.

dyrekcya teatru J. Słowackiego — tu znak zapytania. Na razie mamy zapowiedź występu p. Wysockiej w wielko-repertuarowych rolach dramatycznych. Jest to zapowiedź dopiero, bo w rzeczywistości Teatr J. Słowackiego karmi nas melodramatem i komedyą.

Ostatnie grano w nim „Nerwowych“ W. Sardou; zwrot bowiem do W. Sardou jest zjawiskiem ogólnoeuropejskiem. Tylko, że, aby grać tę starą rzecz w sposób interesujący, trzeba wnieść w nią coś współczesnego i samodzielnie zaobserwowanego. Tymczasem „Nerwowi“ na scenie krakowskiej mieli nerwy z przed lat czterdziestu i w niektórych tylko typach byli żywi, oryginalni. Możnaby to powiedzieć o pewnych momentach w grze p. Dobrzańskiego, Jednowskiego, Kacickiej i Białkowskiego. Ten ostatni zwłaszcza wykazuje znacznie większe zdolności w rolach komedyowo farsowych niż w dramatycznych.

Natomiast dekoracye i ugrupowanie scen, wiele pod każdym względem przedstawiały do życzenia.

„Siostrę Helenę“, szwabskie melodramacidło z wiedeńskim sosem i z typowym bohaterem w osobie austryackiego porucznika od ułanów i jakimś zdegenerowanym starym hrabią. Jeśli nie runęło z miejsca, to tylko dzięki świetnej kreacyi p. Morskiej w roli siostry miłosierdzia pielęgnującej rzekomo obłąkanego porucznika, oraz dzięki grze p. Kliszewskiego, umiejącemu banalnemu i pozbawionemu wyrazu typowi hrabiego dać zacięcie i charakter farsowy.

Natomiast operetka Teatru Powszechnego cieszy się bez przerwy zasłużonem powodzeniem. Szczytem tegoż był występ głośnego artysty opery warszawskiej p. Gruszczyńskiego, w roli „Barona Cygańskiego“. Srebrny jak dzwon głos artysty dawał pełne i dawno nieodczuwane zadowolenie estetyczne wybrednym nawet muzykalnym duszom.

Teatr „Bagatela“ dał nam świetną farsę Winawera p. t. Roztwór prof. Pytla“. Przewinął się przed nami ciekawy a dobrze podpatrzony światek uczonych naszych studentów na tle zetknięcia się tegoż z całą służbą. Widziani od strony swych słabości i codziennych potrzeb nasi uczeni nie stracili nic na nimbie, który ich zasłużenie otacza, ale stali się więcej ludzcy tem dla nas i drożsi. Zawdzięczać to należy głównie dwom kreacyom p. Czarnowskiego w roli dra Perlmuttera oraz p. Trzywdara w roli prof. Pytla. Te dwie kreacye wskazują też właściwą drogę, jak należy uczynić z farsy rzecz interesującą, a przecież niepozbawioną humoru. Nie trywialność ale psychologiczne pogłębienie gry wolne jednak od zbytniego dramatyzowania, pełne naturalności, i swobody — oto najwłaściwszy i jedyny sposób gry dla artystów szanujących się i szczerych. Maska, mimika intonacya p. Trzywdara zwłaszcza — zasługiwały, aby dla niego samego pójść na „Roztwór prof. Pytla“.

Z innych ról pozostaną w pamięci klasyczne postacie pedela Podołka w odtworzeniu p. Berskiego, artysty bardzo sumiennego i wolnego od jakiejkolwiek maniery; służącej, Przetakowej, którą świetnie grała p. Dąbrowska oraz studenta - urwisza w kreacyi p. Brzeskiego...



Przegląd teatralny: „Polska krew“ Nedbala, w teatrze „Nowości“ w Krakowie.

Nakoniec parę słów o pierwszej premierze w „Bagateli“ dla „milusińskich“.

Mimo starannego układu programem nie był on należycie do poziomu tych najmniejszych wystrojonych w prześmieszne ogromne kokardy i trykociki dostosowanym. Za mało w nim naiwności i dekoracyjnych efektów, bez czego niema prawdziwej i szczerej zabawy dla dzieci.

Podnieść jednak należy z uznaniem w „Dzieciach“ Świderskiego doskonałą grę p. Bystrzyńskiego w roli studenta oraz p. Szalskiej w roli łobuzowatego podlotka. *Ludwik Skoczylas.*

Z działalności Akademickiego Kółka literackiego.

Dnia 2. b. m. w sali „Pracy“ w Krakowie odbył się wieczór humorystyczny, urządzony staraniem Akademickiego kółka literackiego.

Program wypełniły deklamacye, oraz odegrane przez dzielnych amatorów jednoaktówki: „Ciocia Femcia“ Madeyskiego, „Poeta i piekarz“, oraz „Anons matrymonialny“ Boanargesa. Reżyserował p. T. Gałkowski, którego pracę z uznaniem podnieść należy.

Gra artystów-amatorów podobała się bardzo licznie zebranej publiczności.

Czysty dochód z przedstawienia przeznaczono na rzecz Akademickiego kółka literackiego z czego piętnaście procent oddano komitetowi, urządzającemu gwiazdkę dla żołnierza polskiego.



Przegląd teatralny: St. Gruszczyński w „Baronie cygańskim“.

Święto wolności w Częstochowie.

Nareszcie po tylu latach niewoli rosyjskiej i ostatnio niemieckiej Jasnogórski Gród mógł obchodzić rocznicę wyzwolenia.

W przeddzień rocznicy pomimo zimna i zawieruchy śnieżnej wieczorem przed dworcem kolejowym, przybranym odświętnie — pięknie udekorowanym girlandami zieleni i barwami narodowemi, zebrały się tłumy publiczności, poczem stosownie do zapowiedzi utworzył się pochód z pochodniami przy licznym udziale wojska, kolejarzy, policyi i Straży ogniowej. Przy dźwiękach muzyki, oświetlonej bengalskiemi ogniami przeszedł pochód głównemi ulicami w stronę Jasnej Góry. Za pochodem przesuwał się zwolna specyalnie w tym celu przez kolejarzy sporządzony symboliczny parowóz. Całość przedstawiała się prześlicznie.

Na drugi dzień w niedzielę o godzinie 8 rano odegrano z wieży dworca i magistratu hejnał, a o godzinie 9 długotrwały gwizd kilku parowozów dał hasło do zbiórki. Następnie wyruszył na Jasną Górę wspaniały pochód przy dźwiękach kilku orkiestr wojskowych i szkolnych, aby tam u stóp Matki Boskiej Częstochowskiej, która przed laty dokonała cudu, broniąc Grodu przed Szwedami, podziękować za wolność. Na przodzie kroczyły kompanie honorowe wojsk polskich, następnie młodzież szkół średnich męskich i żeńskich, komitet organizacyjny święta kolejarzy, cechy, związki, korporacye i stowarzyszenia ze sztandarami, wreszcie liczne zastępy publiczności.

Uroczystą Mszę św. celebrował przed szczytem kaplicy Matki Boskiej ks. biskup Krynicki w otoczeniu duchowieństwa. Podniosłą przemowę do zgromadzonych wygłosił ks. kanonik Wróblewski. Pieśni religijne podczas nabożeństwa wykonał chór mieszany pod dyrekcyą p. Monkoszy. Następnie pochód udał się na dworzec kolejowy, gdzie odbyło się odsłonięcie pamiątkowej tablicy, wmurowanej na zewnętrznej ścianie dworca z napisem: „W pierwszą rocznicę wyzwolenia Polski z pod jarzma najeźdźców w dniu 11 listopada 1918 r.



Święto wolności w Częstochowie: Specyalnie sporządzony przez kolejarzy parowóz, który się posuwał podczas pochodu ulicami miasta.



Z działalności Akademickiego kółka literackiego: Grupa członków Akademickiego kółka literackiego.



Święto wolności w Częstochowie: Msza św. z szczytu (X) kaplicy Matki Boskiej na Jasnej Górze.

Od Administracyi.

Z powodu nadmiernej pracy pod koniec roku, nie może Administracya odpowiadać na niezmiernie liczne, a niepotrzebne korespondencye. Odpowiedzi udzielać będziemy tylko w ważnych sprawach.

Zaznacza się również, że nie będzie się udzielać oddzielnie informacyi o tem, że „Kalendarz Nowości Illustrowanych“ na rok 1920 nie wyjdzie.

Od Redakcyi.

Zwracamy uwagę P. T. Czytelników, że jedynie ci są uprawnieni do ubiegania się o nagrody, którzy nadeślą rozwiązania **wszystkich** zagadek.

Zagadki do nagrody.

Zadanie do uzupełnienia.
Ułożył J. Jaworski, Kraków.

Przez dodanie odpowiednich spółgłosek ułożyć tytuły dwu popularnych niegdyś u nas sztuk teatralnych.

1) - o - - ie - - - - ó - o - e - - a - a - a - - a - u.
2) - e - e - - a - ie - - ę - o - a - y.

Bilety wizytowe.
Ułożył J. W. Zakopane.

Z podanych liter ułożyć godność, względnie zawód poszczególnych osób.

DR. ZEŃ. TEPY.

SAM. ORZIK.

JAN T. DUK.

STAN. E. LACKI.

STANI. RUDY.

Za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek przeznacza Redakcya do rozlosowania dwie nagrody: 1) W. Przyborowskiego „Czerwona mara (powieść) 2) paczkę papieru listowego (25 arkuszy i tyleż koperł).

Rozwiązanie zagadek z Nru 48

Trójkąt magiczny. Salisbury. Antoniny, listopad, Isonzo, Sedan, Bund, Uri, Ra, Y.

Kwadrat magiczny. Rota, Omar, farma, Arad.

Łamigłówka. Dunajec.

Okienko. Danie, Nancy, etyka.

Łamigłówka polityczna. Petruszewicz.

Logogryf. D, Iza, i lew, Mańka, wazon, brama, Rodan, stuła, Pasek, Kozak, minóg, krzyżak.

Zadanie do uzupełnienia. 1) Na złodzieju czapka gore. 2) Kuj żelazo, póki gorące.

Dobre rozwiązania nadesłali pp.: K. Zwoliński Stanisławów, H. Brei Lwów, M. Bielawska Kraków, J. Górski Warszawa, J. Zawadzki Dąbrowa, M. Stankiewicz Jasło, J. Sobkowski Lwów, H. Dębiński Kraków, M. Błachowska Kraków, F. Nowicki Lwów, J. Polak Sandomierz, H. Obst Lwów, W. Ogrodnik Kraków, J. Decewski Tarnopol, S. Samlicki Rzeszów, H. Broda Jarosław, M. Milkowska Zamość, L. Kozłowski Poznań, S. Bandrowski Warszawa, J. Kołodziejski Lwów, S Zięba Sandomierz, M. Ostrowska Wadowice, Z. Lipski Wiedeń, K Sperling Lwów, H. Kwaśniewski Poznań, S. Krzyżanowski Warszawa, J Jasieński Kraków, M. Więckowski Warszawa, J. Kalinowski Kraków, H. Wojciechowski Lwów, S. Malinowski Oświęcim, M. Kanicka Cieszyn, K Radziszewski Zakopane, J. Bogucki Częstochowa, M. Zak Kraków, S. Ogibiński Lwów, T. Piotrowski Rzeszów, J. Jaworski Lwów, B. Szewarga Bochnia, F. Janiński Kraków, Z. Kopytowska Lwów, D. Rosenbaum Przemyśl, Z. Waligórska Warszawa, W. Potocka Kraków, J. Mróz Przemyśl, S. Głowiński Stanisławów, T. Tokarski Lwów, H. Spatz Wiedeń, E. Dąbrowski Kraków, K Lisowski Tarnobrzeg, T. Dutkiewicz Jasło, K. Marek Nowy Sącz, S. Srokowski Łódź, H. Bieńczyk Rzeszów, S. Holzer Kraków, R. Kinalski Rozwadów, B. Aleksandrowicz Jasło, S. Kaiczyński Jordanów, K. Hiller Wiedeń, S. Misiągiewicz Podwołoczyska, J. Czerbowski Lwów, S. Kruczkowski Sambor, L. Wójcik Warszawa, J. Antosz Kraków, K. Gawlik Kraków, S. Kotowicz Poznań, H. Oszacka Tarnów, J. Jabłoński Kraków, L. Rożański Przemyśl, H. Tymińska Warszawa, C. Górny Limanowa, J. Misiewicz Piątkowa.

Nagrodę przez losowanie otrzymali: 1) J. Polak Sandomierz (książka), 2) J. Misiewicz Piątkowa (papier listowy). Upraszamy o nadesłanie 75 hal. na koszta poleconej przesyłki nagrody.

Właściciele i wydawcy: Spadkobiercy St. Lipińskiego; Odpow. redaktor: M. Lipińska. Klisze własnego zakładu. Drukarnia D. E. Friedleina w Krakowie pod zarządem Pawła Madejskiego.